



## Pojedynek czarodziejów

**W** Wielkiej Sali wrzało jak w ulu. Przy czterech długich stołach gromadkami zbierali się rozespiani uczniowie. Jedni zajadali się jajkami na bekonie, inni żywo dyskutowali między sobą. Kilkoro starszych Gryfonów prezentowało przykładowe zaklęcia obronne młodszym kolegom. Wśród rozmów dało się słyszeć wzmianki o Klubie Pojedyneków, który miał wystartować już po południu. Najbardziej ekscytowali się tym uczniowie pierwszego i drugiego roku. Harry siedział przy opustoszałym stole nauczycielskim, podpierając się łokciem. Był wściekły. W milczeniu zerkał na stół Gryfonów, przy którym dostrzegł Albusa. Chłopiec siedział obok swojego przyjaciela Henry'ego i zażarcie o czymś z nim dyskutował. W pewnej chwili obrócił się do tyłu, żeby powitać Neville'a, który wszedł właśnie do Wielkiej Sali.

— Wyglądasz jakbyś miał zaraz eksplodować — stwierdził mistrz zielarstwa, kiedy podszedł do stołu i podał Harry'emu rękę, siadając tuż obok. — Miałeś ciężki poranek?

Harry przeklął pod nosem. Neville obdarzył go zaskoczonym

spojrzeniem.

— Zamierzałem wczoraj wieczorem przesłuchać Meropę Bloomenbach, Sylasa Wilkie i profesor Babbling w sprawie ataku na Jamesa — wyjaśnił ze złością Harry. — Unikają po zmroku towarzystwa innych, więc mogą być wampirem, którego szukamy.

— Domyślam się, że nie byli zachwyceni twoimi podejrzeniami — odrzekł z wyraźnym przekonaniem Neville, sięgając po jajka na bekonie. — Nie chcieli z tobą rozmawiać, prawda?

— Meropa zrobiła mi awanturę w bibliotece — odrzekł z poirytowaniem Harry. — Nazwała mnie ordynusem. Nie wiem nawet co to dokładnie oznacza.

— Zapewne nic dobrego — parsknął z rozbawieniem Neville, ale widząc wściekle spojrzenie Harry'ego dodał z powagą. — I to cię tak wkurzyło?

Harry pokręcił przecząco głową.

— Babbling i Wilkie zareagowali podobnie — kontynuował, z trudem opanowując złość. — Powiedzieli, że bez nakazu dyrektora nie będą ze mną w ogóle rozmawiać.

— No to trzeba było pójść do Fokstera — zasugerował Neville, a Harry głośno nabrał powietrza do płuc, dygocząc ze złości.

— BYŁEM — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Dzisiaj. Tuż przed śniadaniem. Sądziłem, że dobro uczniów będzie dla niego ważniejsze niż nasze prywatne utarczki.

— Odmówił ci pomocy? — spytał z niedowierzaniem Neville.

— Oczywiście, że odmówił — syknął Harry z impetem uderzając pięścią w stół. — Stwierdził, że nie może nakazać nauczycielom udziału w przesłuchaniu. Zabrania mu tego Karta Podstawowych Praw Czarodzieja.

— W zasadzie miał rację — odrzekł Neville i widząc wściekle spojrzenie Harry'ego podsunął mu półmisek z jajecznicą pod nos, dodając słodkim głosem: — Może jajeczek?

Tuż po śniadaniu Harry ruszył w kierunku skrzydła szpitalne-

go. Chciał mieć pewność, że James opuści je bez żadnych komplikacji. Kiedy znalazł się w połowie marmurowych schodów, dobiegł do niego Albus.

— Idziesz po Jamesa, tato? — zapytał, uśmiechając się nieznacznie i nie czekając na odpowiedź dodał wesoło: — Pójdę z tobą.

Ruszyli korytarzem zmierzając ku schodom wiodącym na wyższe piętra.

— Tato, myślisz że James będzie taki jak dawniej? — spytał Al z nieskrywaną troską. Harry westchnął.

— Myślę, że jego charakter się nie zmieni — odrzekł po chwili zastanowienia. — Nadal będzie nas wkurzał swoimi ciągłymi wygłupami i dowcipami.

Albus roześmiał się. Harry również, choć poczuł w tej chwili zimne ukłucie w sercu. Nie był pewien, na ile wampirzy jad zmieni jego syna. Bardzo pragnął, by James nadal pozostał bez troskim i niesfornym chłopcem.

Po dłuższej chwili dotarli na trzecie piętro. Drzwi do skrzydła szpitalnego były uchylone. Podłużną salę rozświetlało migoczące światło świec, lewitujących tuż pod sklepieniem. Weszli do środka. Po obydwu stronach komnaty stały rzędy pustych łóżek szpitalnych. Wszystkie były zasłane. Rzeczy Jamesa zniknęły. W sali nie było nikogo, poza znudzonym duchem, który niespodziewanie wyłonił się ze ściany szepcząc coś pod nosem. Harry wymienił z Albusem zdumione spojrzenie.

Nagle głuchą ciszę przerwał gwałtowny wybuch śmiechu. Zdawał się dochodzić z gabinetu pani Pomfrey. Harry z głupim wyrazem twarzy ruszył w tamtą stronę. Zanim dotarł do połowy sali, drzwi otwarły się szeroko i stanął w nich James. Był już ubrany w szkolną szatę. Z ramion zwisał mu wyświechtany plecak. W dłoni trzymał jakieś cukierki. Na widok ojca wyszczerzył zęby. Jego blada twarz wyrażała ogólne zadowolenie.

— Co zrobiłeś pani Pomfrey?! — spytał z niepokojem Harry.

— Poczęstowałam ją cukierkami — odrzekł niewinnie James, wyciągając przed siebie dłoń z łakociami.

— Gigantojęzyczne toffi! — zawołał Albus.

— Co ci do głowy strzeliło?! — oburzył się Harry, ze zdumieniem stwierdzając, że nie czuje złości lecz wyraźną ulgę. Z gabinetu wyszła pielęgniarka. Miała przekrzywiony czepek i roztrzepane włosy. W panice błędziła wzrokiem po sali. Z rozdziawionych ust zwisał jej gigantyczny język, sięgający daleko poza brodę. Harry nie mógł się opanować. Na jej widok natychmiast wybuchnął śmiechem. James do niego dołączył. Al także nieśmiało chichotał. Pielęgniarka stanęła bezradnie pomiędzy nimi, kipiąc ze złości. Na szczęście nie mogła wypowiedzieć ani słowa.

— Bardzo panią przepraszam — oznajmił po chwili Harry, kiedy udało mu się zapanować nad sobą. — Proszę się przez chwilę nie ruszać. Zaraz coś na to poradzę.

Machnął różdżką i gigantyczny język zaczął się kurczyć, aż powrócił do pierwotnego rozmiaru.

— TO SKANDAL! — wrzasnęła pani Pomfrey, zaciskając pięści. — JAK ŚMIAŁEŚ?! WYNOCHA! WYNOSIĆ MI SIĘ STĄD! NATYCHMIAST!

Jej wrzaski niosły się korytarzem jeszcze przez dobry kwadrans. Nim ustały, Harry zdołał już odprowadzić synów pod portret Grubej Damy.

— To było bardzo niestosowne — skarcił Jamesa, siląc się na ostry ton. — Jako twój nauczyciel powinienem dać ci szlaban.

— Ale jako mój tata weźmiesz pod uwagę moje *traumatyczne przeżycia* — odrzekł ironicznie James. — I tym razem mi odpuszczisz.

Harry mimowolnie uśmiechnął się. Al wypowiedział hasło i cała trójka weszła do zatłoczonego pokoju wspólnego. Uderzyła ich fala gorącego powietrza. Na wyświechtanych fotelach i ka-

napach odpoczywali Gryfoni. Jedni czytali książki, inni wesoło o czymś rozmawiali, kilku grało także w gargulki. Dwie Gryfonki rozgrywały partię szachów czarodziejów. Kiedy jednak James stanął pośrodku pokoju wspólnego, wszyscy zamarli. Zapadła niezręczna cisza. Uczniowie z niepokojem wpatrywali się w niego. Gryfon z pierwszego roku stojący tuż obok pośpiesznie wygrzebał z kieszeni główkę czosnku.

— To nie będzie konieczne — stwierdził Harry, stając na środku salonu. — Jak zapewne już doskonale wiecie, James jest wampirem. Nie stanowi jednak dla was zagrożenia. Wampirze cechy ujawniły się u niego tylko w niewielkim stopniu. Zażywa eliksir, który pozwoli mu nad nimi w pełni zapanować.

Wszyscy nadal wyglądali na zaniepokojonych. James spuścił wzrok. Wyglądał na zmieszanego. Al położył mu dłoń na ramieniu.

— Moi rodzice twierdzą, że wampiry to wyrafinowani mordercy — oznajmił jakiś wysoki i szczupły chłopak z siódmego roku, wychodząc przed grupę dziewcząt. — Uwielbiają napadać swoje ofiary podczas snu!

— To tylko stereotypy — wyjaśnił Harry. — Ci, co tak sądzą nie mieli nigdy do czynienia z wampirami.

— Wystarczy nam jeden wampir wałęsający się po zamku — oznajmiła pulchna dziewczyna siedząca najbliżej kominka. — Chociaż tutaj chcemy czuć się bezpiecznie.

— Nie zamierzam dzielić dłużej z tobą sypialni! — burknął rudy chłopiec, spoglądając z niepokojem na Jamesa. — Nie zmrużyłbym oka!

— Bo jesteś osłem, Dennis! — warknął Fred, wchodząc niespodziewanie do pokoju wspólnego — Nie zapominajcie, że James nadal jest Gryfonem! Jest jednym z nas! Nie możemy odwrócić się od niego. Tak nie postępuje żaden prawdziwy Gryfon!

— Nie obchodzi mnie to! — oburzył się Dennis. — Nie będę

z nim dzielił sypialni!

— Uspokójcie się! — nakazał ostrym tonem Harry. — Każdy z was ma prawo odczuwać niepokój. Z czasem przekonacie się, że James nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Zanim jednak to nastąpi, wasz kolega zajmie jedną z wolnych sypialni. Zabezpieczę drzwi zaklęciem tak, aby nie można ich było otworzyć nocą.

Na twarzach większości Gryfonów pojawiła się wyraźna ulga.

— Chcę się przenieść do sypialni Jamesa — stwierdził stanowczo Fred.

— Dobrze — odrzekł z wdzięcznością Harry. — A teraz rozejść się!

W pokoju wspólnym ponownie zapanował gwar. Wszyscy powrócili do swoich zajęć. Jedynie Dennis nadal zerkał z niepokojem w stronę Jamesa.

— Równy z ciebie gość, Freddy — stwierdził Harry, poklepując chłopaka po ramieniu. — Cieszę się, że James nie będzie musiał spędzać wieczorów samotnie.

— Ja bym się nie cieszył — odrzekł Fred z kamiennym wyrazem twarzy. — Pomyśl wujku, ile głupich pomysłów może nam przyjść do głowy w długie zimowe wieczory.

— Ja też chcę zamieszkać w waszej sypialni! — zawołał z przejęciem Albus.

— Nie ma mowy! — zaproponował James, szczerząc do brata zęby. Harry podszedł do niego. Wyjął z szaty niewielką piersiówkę pokrytą smoczą skórą. Był do niej uwiązany rzemyk.

— To prezent dla ciebie — oznajmił synowi. — W środku znajduje się Wywar Księżycowy. Zawsze noś piersiówkę przy sobie. W ten sposób nigdy nie zapomnisz zażyć eliksiru.

James wziął prezent i natychmiast zawiesił go sobie na szyi.

— Dziękuję, tato — odrzekł z powagą. — Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz.

W oczach chłopca pojawiły się łzy. Harry poczuł ogarniające

go wzruszenie. Przycisnął syna do piersi, próbując zapanować nad sobą.

— No dobra. Dobra. Koniec tych czułości — zawołał z ironią Fred. — Idziemy przygotować nasze nowe lokum.

O ile powrót Jamesa wywołał spore zamieszanie wśród Gryfonów, to dużo większe poruszenie wywołał wśród uczniów pozostałych domów. Kiedy w towarzystwie Freda chłopiec zjawił się na obiedzie w Wielkiej Sali, kilku Puchonów umknęło przed nim w popłochu. Grupa Krukonek obwiesiła się czosnkiem, a przy stole Ślizgonów wybuchła wrzawa. W kierunku Gryfonów poleciały ostre wyzwiska. Najbardziej soczyste epitety były skierowane bezpośrednio do Jamesa. Gryfoni zaciekle go jednak bronili. Nie chcąc dopuścić do bijatyk między uczniami, Harry musiał kilkakrotnie interweniować. Walburg Fokster obserwował to wszystko z wyraźną satysfakcją. Nawet nie starał się tego ukryć.

Po obiedzie Wielka Sala została zamknięta. Monaghan zaczął przygotowywać ją do pierwszego spotkania Klubu Pojedyneków. Kiedy dołączył do niego Harry, po czterech stołach jadalnych nie było już śladu. W ich miejscu, pośrodku sali pojawiło się podłużne podwyższenie oświetlone tysiącami świec zawieszonych w powietrzu. Sklepienie było bezchmurne. Na aksamitnie czarnym niebie skrzyły się tysiące gwiazd.

Kiedy Wielka Sala zapełniła się po brzegi podnieconymi uczniami, Harry i Monaghan stanęli na wzniesieniu. Głowy wszystkich skierowały się ku nim.

— Witajcie na pierwszym spotkaniu Klubu Pojedyneków! — zawołał wesoło Monaghan, błędząc wzrokiem po twarzach zgromadzonych uczniów. — Jak doskonale wiecie, po zamku grasuje wampir — na te słowa kilku uczniów obróciło się w kierunku Jamesa. — Nie, nie jego miałem na myśli — syknął natychmiast Monaghan i kiedy wrzawa ucichła ciągnął dalej. — Nadal nie wiadomo także z czyjej ręki zginął profesor Flitwick. Z

tych właśnie względów postanowiliśmy przygotować was do skutecznej obrony przed niespodziewanym zagrożeniem.

Uczniowie zaczęli między sobą szeptać. Z tylnej części sali dobiegły odgłosy jakiejś kłótni. Monaghan skierował różdżkę do góry. Wystrzeliła z niej olbrzymia błyskawica, rozrywając niebo odwzorowane na sklepieniu sali. Ogłuszający grzmot wypełnił komnatę. Rozległy się zduszone okrzyki przerażenia i piski dziewcząt. Po chwili nastąpiła cisza.

— Bywają takie sytuacje, gdy najlepszą obroną jest atak — kontynuował Monaghan, ignorując pełne oburzenia spojrzenia Krukonek, panicznie bojących się piorunów. — Właśnie dlatego wraz z profesorem Potterem wskażemy wam, jak należy się pojedynkować.

Salę wypełniły entuzjastyczne okrzyki starszych chłopców. Uczniowie ponownie zaczęli między sobą szeptać.

— Na co się gapisz, obrzydliwa pijawko?! — warknął donośnie jakiś złośliwy głos kilka rzędów dalej. Głowy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę. — Masz chrapkę na odrobinę czystej krwi?!

Harry dostrzegł kątem oka, jak Fred rzuca się z pięściami w kierunku Scorpiusa Malfoya. Nim zdołał zareagować potężna błyskawica ponownie rozcięła sklepienie Wielkiej Sali. Przerażliwy grzmot raz jeszcze wypełnił komnatę.

— On jest nienormalny! — pisnęła jedna z Krukonek, wskazując na Monaghana. — Jestem bardziej roztrzęsiona niż na zajęciach z profesorem Wilkie!

Na wspomnienie o nauczycielu numerologii pozostałe Krukunki wzdrygnęły się z obrzydzeniem.

— Bijatyki na pięści są prymitywne i godne jedynie mugoli! — zagrzemiał Monaghan, wyraźnie wyprowadzony z równowagi. — Czarodzieje spory rozwiązują poprzez uczciwy pojedynek!

Wszyscy zamilkli. Gryfoni przestali szarpać się ze Ślizgonami.



Malfoy wyciągnął przed siebie różdżkę i z obrzydzeniem wpatrywał się w Jamesa. Harry tymczasem z zaskoczeniem przyglądał się Monaghanowi. Nie rozumiał dlaczego bijatyka kilku uczniów, aż tak bardzo go zdenerwowała.

— Weasley! Malfoy! Natychmiast do nas! — rozkazał Monaghan, groźnie wskazując na nich różdżką. — Załatwicie niesnaski w cywilizowany sposób!

— Obawiam się, że to nie byłoby zbyt uczciwe — stwierdził chłodno Sylas Wielkie, wyłaniając się niespodziewanie z tłumu i wchodząc na podwyższenie. — Weasley jest starszy od Malfoya.

— To bez znaczenia — odrzekł natychmiast Harry. — Obaj są na drugim roku. Poza tym w Klubie Pojedyneków można używać tylko kilku podstawowych zaklęć.

Sylas Wilkie obdarzył Harry'ego pełnym obrzydzenia spojrzeniem. Nie starał się nawet ukrywać swojej niechęci.

— Kiedy prefekt Slytherinu pojedynkował się z dwójką młodszych od siebie Gryfonów, było to godne potępienia — zakpił jadowicie Wilkie. — Ale gdy Gryfon ma pojedynkować się z młodszym od siebie Ślizgonem, to jest to zupełnie naturalne?

Harry poczerwieniał na twarzy. Zatkąło go.

— W takim razie Malfoy zmierzy się z Potterem — stwierdził z naciskiem Monaghan, spoglądając z niechęcią na Sylasa Wilkie. — W końcu to o niego chodzi w całym tym sporze!

Z tłumu uczniów na wzniesienie wkroczył młody Malfoy, a tuż za nim nieco przerażony James. Harry uśmiechnął się do syna, chcąc dodać mu otuchy.

— Podczas pojedynku wolno wam używać TYLKO trzech zaklęć: Protego — służące do obrony, Expelliarmus — rozbijające przeciwnika, oraz Locomotor Mortis — paraliżujące nogi wroga — wyjaśnił ostrym tonem Monaghan. — Zrozumiano?!

Chłopcy pokiwali twierdząco głowami. Obaj byli spięci.

— Stańcie naprzeciw siebie — nakazał Harry. — Ukłońcie się.

Następnie wyciągnijcie przed siebie różdżki i poczekajcie, aż odliczę do trzech.

James stanął na jednym końcu podwyższenia. Kilka metrów dalej, naprzeciwko niego ze złośliwą miną stał Scorpius. Chłopcy uklonili się sobie.

— Różdżki w gotowości! — zawołał Harry, czując nieprzyjemny skurcz w żołądku. Bardzo chciał, by James wygrał pojedynek i dał nauczkę zarozumiałemu Ślizgonowi. — Raz... dwa... trzy...

Chłopcy w tym samym momencie unieśli różdżki. James rzucił zaklęcie *Expelliarmus*, jednak Ślizgon zdołał osłonić się tarczą.

— *Furnunculus!*

Malfoy błyskawicznie wystrzelił zaklęciem w Jamesa, który w ostatniej chwili uskoczył na bok.

— Tylko zaklęcia, które podałem! — warknął Monaghan.

— *Locomotor Mortis!*

Zaklęcie Jamesa ponownie chybiło, mijając ucho Ślizgona za ledwie o cal.

— *Tarantallegra!*

Nim James zdołał uskoczyć, zaklęcie walnęło w niego z impetem. Jego nogi samoistnie zaczęły wykonywać dzikie pląsy, jakby tańczył w wyjątkowo komiczny sposób. Ślizgoni ryknęli gromkim śmiechem.

— Ostatnie ostrzeżenie, Malfoy! — warknął Monaghan. — Tylko zaklęcia, które podaliśmy!

— *Finite Incantatem!* — zawołał chłodno Wilkie, a nogi Jamesa przestały pląsać. Harry dostrzegł na twarzy syna wściekłość. Miarka się przebrała. Scorpius Malfoy skakał po parkiecie parodiując swojego przeciwnika. Ślizgoni zanosili się śmiechem.

— *LEVICORPUS!*

Zaklęcie błyskawicznie wystrzeliło z różdżki Jamesa i ugodziło Malfoya prosto w pierś. Chłopak zawisł w powietrzu głową w

dół. Szkolna szata opadła mu na głowę, odsłaniając kościste kolana i obcisłe bokserki w różowe misie. Wszyscy uczniowie wybuchnęli śmiechem. Nawet Ślizgoni. Harry z dumą spoglądał na syna. James jednak tego nie dostrzegł. Upajał się widokiem upokorzonego przeciwnika, dygocząc ze śmiechu.

— Chyba wiadomo, który wygrał — zakpił Monaghan, spoglądając złośliwie na Sylasa. — I zanim coś powiesz, pamiętaj, że obaj nie przestrzegli zasad!

Bokserki Scorpiusa Malfoya robiły furorę wśród uczniów przez kilka kolejnych tygodni. Ślizgon stał się tematem ciągłych drwin i dowcipów. Od czasu pojedynku niemal nie opuszczał swojego dormitorium. Kilka razy był widywany w bibliotece, ale jego obecność wywoływała nieustannie salwy śmiechu. W końcu pani Pince wyrzuciła go za zakłócanie ciszy i zabroniła wracać. James tymczasem stał się bohaterem Hogwartu. Gryfoni ubóstwiali go za to, w jaki sposób załatwił przeciwnika. Krukoni i Puchoni zaczepiali go na korytarzu, by podać mu rękę i zamienić z nim choćby słowo. Przez kilka dni od pojedynku był witany w Wielkiej Sali owacjami na stojąco. Nikt już nie zwracał uwagi na fakt, że James jest wampirem.

Harry przez kilka tygodni dzielił czas między treningi quidditcha, spotkania Klubu Pojedyneków, zajęcia zaklęć oraz nieudolne próby prowadzenia śledztwa. Nie był choćby o krok bliżej wyjaśnienia zagadkowego morderstwa Flitwicka. Hermiona nie dawała znaku życia. Nadal nie przesłuchiwał także podejrzanych nauczycieli i nie miał pojęcia jak ich do tego nakłonić.

— Nie trzeba ich przesłuchiwać, Harry — stwierdził Monaghan podczas jednego ze spotkań Klubu Pojedyneków. — Wystarczy ich śledzić.

— Niby jak? Nie mam już Mapy Huncwotów — odrzekł ze złością Harry. — Nie jestem w stanie chodzić za trzema osobami jednocześnie.

— Nie będziesz musiał. Pomogę ci — zaoferował Sean. — Pogadamy z Nevillem. Z pewnością też się zgodzi. Każdy z nas będzie śledził jednego podejrzanego.

Harry zamyslił się przez chwilę. Nie mógł pojąć, czemu sam do tej pory nie wpadł na taki pomysł. Przecież to było takie oczywiste i proste rozwiązanie.

— Tylko musimy to robić po cichu — stwierdził konspiracyjnym tonem. — Tak, żeby Fokster o niczym nie wiedział.

Zgodnie z przewidywaniami Monaghana, Neville wyraził chęć pomocy. Ustalono grafik zgodnie, z którym każdy śledził codziennie innego podejrzanego. Niestety wiązało się to z faktem, że Harry'emu przybył kolejny obowiązek. Nie miał teraz ani chwili wolnego czasu. Zarwane noce próbował odsypiać podczas przerw między zajęciami. Spóźniał się na treningi quidditcha, a z roztargnienia kilka razy zdarzyło mu się pomylić pokój nauczycielski z ubikacją dziewcząt. Do swoich lekcji przygotowywał się głównie wieczorami i w weekendy.

— Po prostu Harry powinien nieco zwolnić — stwierdził któregoś wieczoru Gburek, podając Harry'emu herbatę. — Wziął na siebie zbyt wiele. Gdzie czas na odpoczynek? Jak będzie zmęczony, to nie znajdzie mordercy profesora Flitwicka!

Nadzieję na dłuższy odpoczynek niósł ze sobą ostatni weekend stycznia. Z powodu mającego się odbyć wtedy meczu quidditcha, Monaghan odwołał spotkanie Klubu Pojedynków. Kiedy wszyscy zgromadzili się na stadionie, a drużyny Hufflepuffu i Slytherinu stanęły naprzeciwko siebie, Harry natychmiast przyśnął na ławeczce łączy honorowej. Jego chrapanie rozbawiło Lisę, która chichocząc okryła go kocem. Błogi sen nie potrwał jednak zbyt długo. Już w siódmej minucie meczu szukający Ślizgonów złapał znicz.

Rozgoryczony Harry zaraz po opuszczeniu stadionu udał się do swojego gabinetu. Był przemarznięty. Wypił gorącą herbatę i

napalił w kominku. Gdy tylko zrobiło mu się cieplej, wskoczył do łóżka. Olbrzymie zmęczenie szybko dało mu się we znaki i Harry niemal natychmiast zapadł w błogi sen.

Śniły mu się barany. Stado baranów... nie... to były owieczki... duże, różowe i puszyste... pasły się na zielonej łące... wśród nich biegała Lisa... jej suknia falowała na wietrze... miała taką smukłą sylwetkę... uśmiechała się do Harry'ego... głaskała owieczkę... owieczka leniwie beczała...

Nagle Harry'emu zaczęło brakować tchu. Poczul przejmujące zimno na twarzy. Łąka, owieczki i Lisa rozplynęły się w nicość. Przed oczami zrobiło mu się ciemno. Nie mógł nabrać powietrza do płuc. Przerażony otworzył oczy i dostrzegł na swojej twarzy czarny cień, przypominający nieco pomarszczoną pelerynę. Osuwał się on wokół jego ust i nosa, powoli pokrywając całą twarz. Harry zaczął gorączkowo macać dłonią w poszukiwaniu różdżki. Nigdzie jej nie było. Dostał zawrotów głowy. To koniec — pomyślał. — Uduśzę się.

Nagle rozległ się trzask, jakby łamanej gałązki. Ciemność wypełnił błysk światła. Chłód ustąpił. Czarny cień osunął się z twarzy Harry'ego, padając na podłogę. Czarodziej zaczął łapczywie nabierać powietrza do płuc. Kiedy otworzył oczy, dostrzegł przed sobą karłowatą postać z wielkimi sterczącymi uszami.

— Zgredek?! — jęknął z niedowierzaniem i szybko dodał: — Czy ja... *umarłem?*

— Po prostu Harry nie umarł! — zaprzeczył skrzat. — Gbupek go ocalił!